1

GRA

Bieda jest chorobą dziedziczną. Przechodzi z ojca na syna, z matki na córkę, z dziadków na wnuki. Tak uważałem wtedy i uważam tak teraz. Brak pieniędzy na zawsze pozostawia pewne drzwi zamknięte. Nie stać cię na studia, to w przyszłości nawet nie masz co liczyć na godne zarobki. Nie stać cię na nowe ubrania czy wyjścia na miasto, pożegnaj się z pewnymi kręgami znajomych. Nie masz edukacji ani znajomości, to albo do końca życia harujesz jak wół, codziennie licząc się z każdym groszem, tylko po to, by przed samą emeryturą zejść na zawał czy inne gówno, albo kombinujesz, jak oszukać ten od wieków ustawiony układ.

Kiedy pewnego lipcowego wieczoru 1993 roku zawitałem do meliny Conora O'Briena w Seaport w Bostonie, po raz kolejny postanowiłem spróbować tego drugiego. Wtedy nie była to dzielnica drapaczy chmur, restauracji i obrzydliwie drogich apartamentów, jak teraz, ale brudna połać pustych parkingów i zapuszczonych magazynów. W „lokalu" O'Briena tchnęło wilgocią, na betonowej podłodze widniały zacieki po kałużach, a jarzące się bladym światłem neonówki wciąż migotały – jedna z nich nawet „wybuchła" na moich

oczach. Gdy przy wejściu wręczałem kopertę z trzema tysiącami dolarów rudemu Irlandczykowi z gangu Winter Hill, zacząłem się obawiać, czy trafiłem do właściwego miejsca. Osiłek, przeliczywszy pieniądze i sprawdziwszy, czy nie przyniosłem ze sobą broni, poprowadził mnie jednak do znajdującego się na tyłach magazynu pokoju gry – zdecydowanie czystszego i suchszego niż reszta przybytku. Przy obitym zielonym suknem stole siedziało w nim pięciu facetów. Spomiędzy kłębów papierosowego dymu wyłowiłem twarz O'Briena. Zimne niebieskie oczy zmierzyły mnie poirytowanym spojrzeniem.

– Już mieliśmy zaczynać bez ciebie – stwierdził, zaciągając się papierosem, a następnie gasząc go w wielkiej szklanej popielniczce.

– Wszystkie magazyny wyglądają tutaj tak samo, a połowa nie ma żadnych oznaczeń – wytłumaczyłem.

Nie skomentował moich słów. Oddał popielniczkę siedzącemu za jego plecami ochroniarzowi i wskazał mi ostatnie puste krzesło.

– Napijesz się czegoś? – spytał.

Normalnie nie odmówiłbym darmowego drinka – w moich żyłach również płynie irlandzka krew – ale tego wieczoru potrzebowałem być w pełni skupiony na grze, więc pokręciłem tylko przecząco głową. Po chwili otrzymałem żetony, a na stole pojawiło się zafoliowane pudełko z talią kart. O'Brien otworzył je na naszych oczach i rozłożył karty w wachlarz, byśmy wszyscy mogli sprawdzić, że żadnej nie brakuje. Rozpoczęła się gra w pokera texas hold'em.

Nie będę was zanudzał szczegółami kolejnych rozdań. Powiem tylko, że szło mi świetnie. W kwadrans ogoliłem

jakiegoś siedzącego po mojej lewej krawaciarza, a nieco później pozbawiłem złudzeń na wygraną wciąż pocącego się grubasa, który drapał się pod nosem za każdym razem, gdy miał dobre karty. O'Brien też nie próżnował, zabrał wszystkie żetony starającemu się ukryć podenerwowanie za ciemnymi okularami Włochowi, a gdy ten zaciągnął u niego pożyczkę, orżnął go na kolejne cztery tysiące. Po półtorej godziny zostało nas trzech: ja, gospodarz oraz jakiś studencik bez umiejętności – za to z głębokimi kieszeniami (później dowiedziałem się, że to bratanek jednego z prawników obsługujących Winter Hill).

Jak nietrudno się domyślić, studencik wkrótce przegrał wszystko co miał i czego nie miał. Nie pamiętam już, czy spłukał się zaraz przed decydującą rozgrywką, czy zostało mu wtedy jeszcze kilka żetonów i spasował na początku. Skupiłem się całkowicie na rozgrywce z O'Brienem. Ja miałem jakieś dziesięć kafli, on około dwudziestu pięciu – wszystko przez kolejne pożyczki studencika. Zamierzałem zagrać jeszcze ze trzy, może cztery rozdania, by spróbować go napocząć, a w razie niepowodzenia wycofać się z niemałym zyskiem.

Dostałem trójkę i dziewiątkę kier. We flopie znalazł się król kier, trójka trefl i dwójka karo. Na razie miałem więc parę trójek – nie powalający na kolana układ, ale wygrywałem już z gorszymi. Dorzuciłem do puli pięćset dolarów. O'Brien sprawdził. Turn przyniósł waleta kier. Nagle otworzyła się przede mną szansa na kolor. I pomimo iż mój przeciwnik mógł już w tej chwili mieć dwie pary lub trójkę, czułem, że to było rozdanie, na jakie czekałem. Dorzuciłem

kolejne pięćset baksów. O'Brien, którego rude włosy w żółtym świetle zawieszonej nad stołem lampy wydawały się prawie brązowe, przebił mnie o następne pięć stów. Sprawdziłem.

Gdy river okazał się dziesiątką kier, serce zaczęło bić mi szybciej. Kolor. Naprawdę uzbierałem kolor. Teraz musiałem tylko umiejętnie podpuścić oponenta, by włożył do puli jak najwięcej. Biorąc pod uwagę nasze stany żetonów, nie obawiałem się specjalnie, że to zawalę. O'Brien, jak większość graczy w swojej uprzywilejowanej sytuacji, grałby pewnie na straszenie mnie kolejnymi wysokimi zakładami. Zamierzałem mu się postawić.

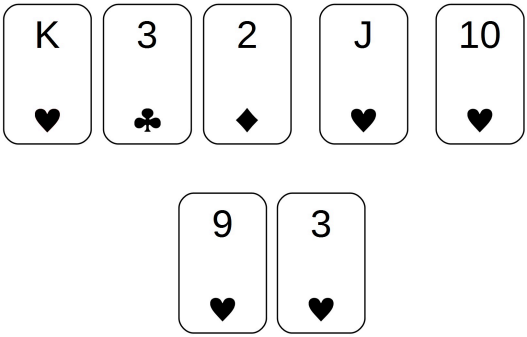

Najpierw sam udałem, że karta mi nie doszła i wrzuciłem dwa tysiące, niby próbując blefować. Gdy on przebił mnie o dwa tysiące, dorzuciłem kolejne trzy. Wtedy dodał do puli tyle, że abym mógł grać dalej, musiałbym postawić wszystko. Nie będę kłamał, poważnie zastanawiałem się, czy jednak nie popełniłem błędu. Fulla ani karety nie mógł mieć, bo na stole nie leżały żadne pary, zaś poker odpadał ze względu na moją dziewiątkę – asa nie miał, tego byłem

pewny w stu procentach. Pokonać mnie mógł tylko kolor z wyższą kartą, w tym wypadku damą kier. Sądziłem, że gospodarz zbierał dwie pary, najwyżej trójkę, może nawet miał je od samego początku. Szanse na kolor i damę kier co prawda istniały, ale musiały być bardzo niskie. Przesunąłem więc resztę moich żetonów do puli. Pozostający w pokoju w charakterze widzów studencik i grubas wymienili podekscytowane spojrzenia.

– Jesteś tego pewny? – spytał O'Brien. – To wszystkie twoje pieniądze.

Mimowolnie uśmiechnąłem się pod nosem. Nie był pewny swoich kart. Spojrzał na nie jeszcze raz, a potem wodził wzrokiem po stole, jakby szukając na suknie wskazówek co do dalszego postępowania. Nie ryzykował tyle co ja, ale jego przegrana wyrównałaby nasze szanse w dalszej grze, a on chyba czuł, że szczęście go opuszcza. Uderzył kartami o stół kilka razy.

– Słyszałem, że pracujesz w dokach – stwierdził niespodziewanie. – Trzy tysiące dolców to dla ciebie góra forsy, a teraz masz jeszcze więcej. Nie lepiej się wycofać? Jeśli pożyczyłeś je od kogoś, a teraz je stracisz... Może oddaj długi i wróć innego dnia z tą wygraną.

– Od nikogo nic nie pożyczałem – odparłem pewnie – ale nawet gdyby tak było, i tak wszedłbym za wszystko.

– Jesteś bardzo pewny swojej ręki. – Przewiercał mnie lodowatym spojrzeniem.

– Pasujesz? – spytałem z uśmiechem.

– Nie. I bardzo podoba mi się nasza rozgrywka. Ale wierz mi, ja nie blefuję.

– Więc sprawdzaj.

Uśmiechnął się, jakby przypomniał sobie jakieś miłe wydarzenie z przeszłości.

– A co powiedziałbyś na podniesienie stawki?

– Już wszedłem za wszystko.

– Pożyczę ci piętnaście tysięcy. Dorzucisz je do puli. Jak wygrasz, zgarniesz moje dwadzieścia pięć plus swoje dziesięć, czyli wyjdziesz z ponad dziesięciokrotnością tego, z czym tu przyszedłeś.

Zakręciło mi się w głowie. Nigdy nawet nie widziałem takich pieniędzy. Grubas zaczął się drapać pod nosem, studencik złapał za głowę, a ochroniarz O'Briena niespokojnie poruszył na krześle. Podpuszczał mnie? Jednak miał tę damę? A może chciał sprawdzić, jak znoszę presję?

– Nie chcę cię pozbawiać takich pieniędzy już podczas naszej pierwszej gry. – Starałem się zgrywać twardziela, ale głos musiałem mieć niewyraźny.

– W porządku. Skoro pękasz…

Do dziś nie wiem, co mnie wtedy podkusiło: chęć gigantycznego zysku czy lekceważący ton jego głosu, ale bez namysłu rzuciłem:

– Zaraz, zaraz. *Nie chcę* nie oznacza, że tego nie zrobię. Jeśli sam o to prosisz…

– Ha. I to mi się podoba, nie Sean? – odwrócił się do ochroniarza. – Nie bawmy się już w te żetony. Pokazuj karty i przekonajmy się, kto ma większe jaja.

Z pewnością siebie, jakiej nigdy się nie spodziewałem poczuć, pokazałem mu swoją dziewiątkę i trójkę. Studencik z wrażenia zasłonił usta dłonią, grubas wstał i zaczął dra-

pać po głowie, zaś goryl przeciągle gwizdnął. Czerwone oblicze O'Briena zamarło. Wygrałem, przemknęło mi przez myśl. Po chwili jednak gospodarz rzucił na stół jedną z kart. Dama kier. Niemożliwe, przecież szanse na to były bliskie zeru. Mimo to wciąż mogłem wygrać. Jeśli druga karta nie była kierem…

As kier. Drań ułożył królewskiego pokera. Ale jak? Przecież tę kartę…

– Chyba wisisz mi piętnaście kafli, Jack – uśmiechnął się szyderczo O'Brien.

Pociemniało mi przed oczami. Widziałem tylko wąski tunel, na końcu którego leżał as kier. Zebrani przy stole zaczęli o czymś dyskutować, ale ich słowa do mnie nie docierały. Zastanawiałem się tylko, skąd wezmę piętnaście tysięcy dolarów i co ze mną zrobią Winter Hill, jeśli – lub raczej kiedy – minie termin spłaty.

Nie pamiętam dokładnie, co działo się potem. Chyba chodziłem trochę po ulicach, zanim wróciłem do swojego ciasnego mieszkanka na Savin Hill w Dorchester. Pamiętam, że świtało już wtedy, a na I-93, która w '93 biegła jeszcze nad ziemią, zaczęły się zbierać pierwsze poranne korki – akurat w okolicy Savin Hill autostrada zwężała się do trzech pasów i zawsze było tam głośno. Z otwartego okna taksówki stojącej na skrzyżowaniu obok mojego domu dobiegały dźwięki *You Bring on the Sun* Londonbeat: y*ou bring on the sun, it's you making it shine*. Zapamiętałem ten szczegół, bo czułem, że w przeciwieństwie do tej piosenki, słońce mojego życia powoli zachodziło.

Siadając na zarwanej kanapie, wciąż nie potrafiłem uwierzyć w to, co się stało. Sięgnąłem do rękawa i wyjąłem

z niego asa kier, którego O'Brien rzekomo użył w swoim królewskim pokerze. Asa kier, którego udało mi się wyjąć z talii trzy rozdania przed ostatnią rozgrywką.